

Z cyklu: „Sylwetki psychoterapeutów”

**POLUBIĆ PACJENTA
— ROZMOWA Z PROF. DR HAB. HANNA JAKLEWICZ**

Wanda Szaszkiewicz — Może zaczniemy od miejsca, w którym Pani mieszka i pracuje. Reprezentuje Pani środowisko gdańskie. Jakim miastem dla psychiatry jest Gdańsk? Czy to miejsce ma jakiś specjalny duchowy klimat? I przede wszystkim, jak się Pani w nim czuje?

Hanna Jaklewicz — Muszę powiedzieć, że nie całkiem mogę być reprezentatywna dla środowiska gdańskiego, albowiem w Gdańsku reprezentowane są różne kierunki psychoterapii, zarówno w teorii, jak i w praktyce. Oczywiście wyszłam ze szkoły gdańskiej. Miałam stypendium w klinice, z którą byłam związana jeszcze w czasie studiów, między innymi przez koło naukowe. Gdy zaczynałam studia medyczne, wiedziałam, że będę psychiatrą, a to dlatego, że wydawało mi się, iż psychiatria to jest połączenie psychologii, filozofii i wielu innych dziedzin nauki i życia zarazem. Wiedziałam, że będę się w tym dobrze czuła. I tak się stało. To był świadomy wybór, wynikający z fascynacji człowiekiem, z tego, że każdy jest inny. Zaczęłam pracować w klinice prof. Tadeusza Bilikiewicza. Była to klinika o bardzo szczególnym charakterze, zorientowana biologicznie. Wciągnęło mnie to, gdyż było to bardzo usystematyzowane — jasna struktura, wiadomo było, co robić i nie było wielu wątpliwości. Potem, w pierwszych latach pracy, dostałam stypendium i wyjechałam do Francji. Tam zetknęłam się ze środowiskiem psychoanalityków dziecięcych.

W. S. — To musiał być zupełnie inny świat?

H. J. — Tak, w istocie. Pamiętam, jak myślałam nocami nad tym, jakie to może mieć znaczenie, że rysunek tej dziewczynki jest narysowany tak, a nie inaczej. Analiza rysunków dziecięcych to był mój pierwszy kontakt z psychoanalizą dziecięcą. Teraz, po tylu latach, wracam do tego, uczestnicząc w posiedzeniach dyskusyjnych, dotyczących różnych zagadnień z psychoanalizy dziecięcej. I znów pierwsze spotkanie w ramach tych posiedzeń było poświęcone analizie i psychoanalitycznej interpretacji rysunków dziecięcych.

W. S. — To musiały być czasy, w których wyjazdy były rzadkością, a tym samym pokazywały różnice w traktowaniu wielu spraw. Które to były lata?

H. J. — Te początki, to były lata 1966—67. Potem jeździłam co roku na miesiąc, bo nawiązałam tam wiele przyjaźni. Ale to było już coś innego, natomiast sam początek — to było zderzenie nocy z dniem. Przytoczę tu pewien przykład. Zbierałam wtedy materiały do pracy doktorskiej i poszłam nieśmiało do biblioteki. Bardzo niepewna siebie, zwróciłam się do osoby, która tam była, z prośbą o potrzebne książki. Kazano mi przyjść następnego dnia o godz. 12.00. A gdy przyszłam, czekał na mnie okazały stos książek i publikacji. Ta konfrontacja polskiej niemożności z tym, że tam się udawało, była olbrzymia. A przecież jeszcze nie było Internetu i ta pani musiała się natrudzić dla zupełnie obcej osoby. Pamię-

tam takie zdarzenia do dzisiaj, a także wspaniałych ludzi o wielkich umysłach, z którymi się tam zetknęłam.

Po powrocie zrobiłam doktorat na temat psychopatologicznych uwarunkowań przestępczości nieletnich, a potem... musiałam odejść z kliniki. Muszę powiedzieć, że z bólem. Było to jednak ode mnie niezależne.

W. S. — Tematyka tego doktoratu była z pogranicza psychiatrii.

H. S. — Tak jak wszystko, co robię, bo przecież nie mogłam wyłączyć z moich rozważań tematu rodziny, uwarunkowań społecznego rozwoju młodych ludzi. Profesor mi pozwolił raz w tygodniu jeździć na konsultacje do Malborka, do zakładu karnego o zastrzyżonym rygorze. Byli tam osadzeni młodociani zabójcy. Badałam zresztą różnych przestępców. Najbardziej przerażające dla mnie było to, że gdy na badanie przyprowadzano ślicznego chłopca z twarzą aniołka i niebieskimi oczami, to wiedziałam, iż prawdopodobnie jest to zabójca. To wszystko było pasjonujące. Byłam wtedy bardzo aktywna, dużo pracowałam.

W. S. — A potem nagle, z tą wielką energią, została Pani bez pracy. Na jak długo?

H. J. — To była półroczna przerwa w życiorysie, podczas której robiłam różne dziwne rzeczy. Musiałam jednak znaleźć coś takiego, gdzie mogłabym tę energię skanalizować, co byłoby pożyteczne dla innych i interesujące dla mnie. W związku z tym stworzyłam placówkę, która na owe czasy była dość nowoczesna, z zapleczem psychologów, pedagogów. Zajął się, wraz z moimi współpracownikami tym, co w Polsce wtedy nie było jeszcze dobrze znane, a mianowicie zagadnieniem dysleksji. Prowadziliśmy pierwsze w Polsce badania epidemiologiczne nad jej rozpowszechnieniem. Do dzisiaj te badania są znaczące. Myślę, że teraz przydatne również dla oświaty. A ja sama, ponieważ żyję i pracuję długo, mogłam również sięgnąć do korzeni. Zaczęłam robić badania katamnesticzne tych wyłowionych wówczas młodych, kilkunastoletnich dyslektyków. I wyszły z tych 25 lat badań bardzo ciekawe wyniki, zresztą już opublikowane.

W. S. — Wróćmy jeszcze do tamtych czasów, czy coś jeszcze Pani robiła, aby tę energię wykorzystać? Wtedy jeszcze nie pracowała Pani na uniwersytecie.

H. J. — Tak, wtedy jeszcze nie, ale rzeczywiście szukałam sposobności, żeby dzielić się doświadczeniem poza ściśle lekarską działalnością. Pamiętam, jak organizowałyśmy z moją współpracownicą, która teraz jest profesorem psychologii, kursy dla nauczycieli właśnie na temat dysleksji, aby dowiedzieli się, co to jest, jak postępować z dziećmi, które ją mają. Potem były seminaria dla studentów pedagogiki na podobne tematy.

W. S. — A jak to robiłyście: społecznie czy odpłatnie?

H. J. — Oczywiście, że społecznie. W tych czasach było to zupełnie naturalne i nie takie rzadkie, że poświęcało się swój czas i wiedzę dla młodych zupełnie bezinteresownie. Zachęcałyśmy młodych ludzi, aby z tego korzystali. A ja miałam dla siebie taką korzyść i satysfakcję, że robiłam to, co tak bardzo lubiłam, a mianowicie mogłam uczyć innych. Wtedy przyszedł czas na habilitację, którą zrobiłam w całości w warunkach ambulatoryjnych. Gdy porównuję teraz sytuację kolegów, którzy rozwijają się naukowo i piszą swoje prace, dostrzegam różnicę. Oni są chronieni, cały swój czas, a szczególnie tuż przed obroną, poświęcają na pisanie, ja natomiast prosto z pracy, od pacjentów, biegłam na kolokwium habilitacyjne. To były lata 80., a więc trudne do pogodzenia wszystkiego, też i życia rodzinnego.

Po habilitacji dostałam propozycję pracy na uniwersytecie, ale z jakiś takich wstrętów

ideologicznych odmówiłam i dopiero w 1984 roku zdecydowałam się podjąć pracę w Instytucie Psychologii, gdzie jestem do dzisiaj.

W. S. — Co konkretnie Pani tam robi? Domyślam się, że również dydaktykę. A zatem kogo i czego Pani naucza?

H. J. — Uczę psychologów, socjologów. Moje wykłady z psychopatologii i zajęcia w ogóle, prowadzone są w taki sposób, że ich zmuszam, aby mnie korygowali, aby w nich czynnie uczestniczyli. To jest płaszczyzna dyskusji. Bardzo lubię to robić. Odpowiadać na ich pytania, konfrontować to, co oni myślą, z tym, co ja im przekazuję na jakiś temat. Uważam, że tylko w ten sposób mogą lepiej poznać zagadnienie i wykorzystać to w swojej praktyce zawodowej albo w życiu. Mam wykłady z psychiatrii dzieci i młodzieży, które są obowiązkowe dla wszystkich studentów z ww. kierunków na 3 roku, a potem prowadzę tak zwane ścieżki zainteresowań. Jest dużo kandydatów na te zajęcia. Mam również wykład z leczenia zaburzeń psychicznych dzieci i młodzieży dla większej grupy, która potem dzieli się na całkiem małe, aby w praktyce pracować pod moim kierunkiem z konkretnym pacjentem w Centrum Zdrowia Psychicznego Dziecka. Centrum ma podpisaną umowę z uniwersytetem, aby to można było robić.

W. S. — Ciekawa jestem Pani spojrzenia psychoanalityka dziecięcego, które ma swoje źródło w doświadczeniach francuskich, w tej szkole psychoterapii, która musiała mieć wpływ na Panią. Co z tego zostało w sensie przydatności w myśleniu o pacjencie, o jego leczeniu?

H. J. — Tak, to była szkoła, która pozwoliła mi na zadanie sobie pytania: czy naprawdę to, co wiem i biorę po uwagę jest wystarczające? Oczywiście nie jestem psychoanalitykiem, ale to doświadczenie było bardzo ważne. Na początku byłam bezkrytyczna, zafascynowana tą biologią, myślałam, że wszystko trzeba poszufladkować, że da się to zrobić i że jest to stosunkowo proste. A psychoanaliza zaraziła mnie innym sposobem myślenia. Dlatego między innymi jestem tak związana z Krakowem — z ludźmi, którzy tu pracują, podobnie myślą, a ja tego potrzebuję, żeby dalej egzystować.

W. S. — Wracając do psychoanalizy, rozumianej nawet tylko jako sposób myślenia, zastanawiam się, co konkretnie może dawać ten kierunek w pracy z dziećmi i młodzieżą, która Pani dotyczy. Z drugiej strony, jakoś działa sam pacjent, który jest trudnym pacjentem. Co to daje terapeutycznie? Czy optymizm terapeutyczny, czy odwrotnie: przestrożę i nacisk na ograniczenia? Jak to działa na nasz rodzaj ekspresji, na to, jakimi się stajemy po latach takiej pracy? Pani pracuje także z dziećmi autystycznymi, co jest zapewne kolejnym wyzwaniem, które nie może nie pozostawić śladów.

H. J. — Ach, to jest trudne pytanie, czy raczej trudno jest odpowiedzieć na nie w skrócie, jeśli chodzi o teorię.

W. S. — Może w takim razie proszę powiedzieć o praktyce, co Pani z takimi pacjentami robi?

H. J. — Nie ma jednej recepty. W każdym momencie kontaktu z takim dzieckiem, a to także jest kontakt z jego matką i czasem całą rodziną, trzeba w zależności od potrzeby wynikającej z aktualnego rozwoju dziecka, jego stanu psychicznego i kondycji rodziny zastosować nowe sposoby działania. Trzeba je dostosować do tego akurat dziecka w celu odkrywania i stymulowania. Jest to jednocześnie pobudzanie rozwoju mowy, wyrażanie reakcji emocjonalnych, utrzymanie kontaktu wzrokowego. Jeśli już wpadłam na pomysł, wiem, jak to zrobić, pokazuję to jego mamie. I tak na przykład: „Asiu zróbmy sówkę” —

to jest skupienie na oczach, specjalna do tego mina. Proszę sobie wyobrazić, jak to moje pierwsze francuskie doświadczenie w tej chwili mi się przydaje. Jedna z moich pacjentek, dziewczynek z autyzmem, którą prowadziłam od 3. roku życia i teraz ma lat 16, jest uznana jako wybitny talent plastyczny, dostała nagrodę ministra. Moim marzeniem jest, żeby napisać o tym monografię. Mam jeszcze jeden pomysł z nią związany. Ona maluje cudowne obrazy, ale bardzo symboliczne, maluje tylko drzewa, ale symbolika jest głębsza. Przedtem były to drzewa kolorystycznie bardzo spokojne. Przeszła psychozę i powstały inne obrazy — „drzewa wiatry”, drzewa niespokojne, drzewa burzliwe, drzewa powyginane. Szkoda, że nie wzięłam fotografii tych obrazów. Oglądając je, można zobaczyć, że pewien symbol się powtarza, jednak za każdym razem coś ulega zmianie, coś jest zniekształcone. To znaczy, że coś się musiało wydarzyć. Ta dziewczynka czasem swoje drzewa nazywa, nadaje im bajkowe imiona. Ja bym chciała, żeby ona opisała te drzewa takimi bajkami. Żeby powstał taki cykl „Moje bajki dla was”.

W. S. — To jest bardzo cenne, bo przecież dzieci łatwiej nawet potrafią wyrazić swoje uczucia, powiedzieć coś ważnego w rysunkach niż słowach. Chociaż można to połączyć. Ze swojej praktyki z dziećmi, które przeżyły jakiś uraz, czasem poważny, jak wykorzystanie seksualne, wiem, że opowiadanie przez nie bajek czy wspólne ich układanie ma walor terapeutyczny większy niż diagnostyczny. Czy też miała Pani podobne doświadczenia?

H. J. — Niestety, my pracujemy pod presją czasu, zobligowani przez kasy chorych do dużego, brzydko mówiąc, przerebu, ale organizujemy grupy terapeutyczne dla dzieci od 7. do 9. roku życia. W tej terapii grupowej stosujemy takie formy, jak wspólne rysowanie, opowiadanie historii, kończenie tych zaczętych. Niestety, muszę powiedzieć, że niewiele osób zajmuje się psychoterapią dzieci, niewiele tworzy i zapisuje metody. Nie ceni się tego jako poważnego narzędzia wspierania rozwoju czy leczenia. A dla dzieci właśnie ta forma obrony przed patologią jest ważniejsza niż wszystkie neuroleptyki, których stosowania, szczególnie u dzieci, ja bardzo unikam.

W. S. — O ile wiem, psychoterapia dzieci nie jest zbyt dobrze opisana, podczas gdy inne dziedziny — nawet później powstała terapia rodzin — są lepiej skonceptualizowane. Jest dużo mniej publikacji, a jeśli są, to mają bardzo wycinkowy charakter.

H. J. — Bo, niestety, w ogóle niewiele osób zajmuje się psychoterapią małych dzieci! Do nas powinny trafiać już małe dzieci, a rzadko trafiają.

Jestem wierna teorii Nico Tinbergena, laureata Nagrody Nobla, z którym miałam szczęście korespondować. On wydał taką cudowną książkę „All Autistic children”. Z jego koncepcji etologicznej, dotyczącej autyzmu, wyrosła terapia „holding”. Opracowała to Marta Welch. Nie mogę się zgodzić z opinią, że terapia „holding” jest terapią behawioralną. Pisałam o tym trochę, np. było doniesienie w „Psychoterapii”. Założenie jest takie, że dziecko jest inne, ma inne możliwości rozwoju, jeżeli nie ma zabezpieczonych kilku podstawowych warunków, między innymi poczucia bezpieczeństwa. To poczucie u małych dzieci, szczególnie u nowo narodzonych, jest najważniejsze i tworzy się poprzez bezpośredni kontakt z matką. Natomiast tuż po urodzeniu w życiu małego człowieka dzieją się straszne rzeczy. Dziecko zamiast w ramiona matki, trafia do czysto higienicznego, wysterylizowanego pokoju, do plastikowego pudełka. Przeżywa ono to, co psychoanalicy nazywają szokiem, gdy z komfortu ochrony wchodzi w ostre światło, nienaturalne hałasy. Holding to jest jakby odbudowanie tych pierwszych kontaktów.

W. S. — Zatem można powiedzieć, że murzyńska matka, nosząc swoje dziecko na plecach wszędzie tam, gdzie sama się udaje, uprawia holding! Bliskość z nią, naturalne ciepło chronią dziecko przed nowymi bodźcami, pozwalają je dobrze znosić. Gdy byłam w Mali, w Afryce, z podziwem patrzyłam na starsze i całkiem młode matki, które nosiły swoje dzieci przywiązane do pleców chustą i nigdy nie skarżyły się z powodu przeciążenia macierzyństwem. Nie rozumiały, o co mi chodzi, gdy pytałam, czy nie marzą o odpoczynku dla swoich pleców.

H. J. — Otóż Tinbergen pisał właśnie o tym, a pewien terapeuta, Sanua, który był na kongresie terapii rodzin w Krakowie — okazało się zresztą, że jest Polakiem z pochodzenia — wraz z grupą badaczy, takich jak antropolodzy, lekarze, psychologowie, prowadził na ten temat badania międzykulturowe w Ameryce Południowej i Afryce. Wyniki były takie, że im wyższy stopień cywilizacji, tym więcej autystycznych dzieci. A więc tam, gdzie relacje są bliskie, utrzymywane w sposób naturalny, jest mniej zaburzeń tego typu, zaburzeń relacji właśnie. Daje to większe szanse na dobry rozwój emocjonalny.

I właśnie tego holdingu uczymy w naszym centrum. To jest praca indywidualna. Są oczywiście terapeuci, którzy uprawiają holding w grupie. Nie uznaję tego — dla mnie to jest przekroczenie granic intymności, która w tym przypadku jest kluczowa. Staram się ich nigdy nie przekraczać. Już moja obecność jest wystarczająco znaczną ingerencją, chociaż terapeuta często daje matce choćby trochę poczucia bezpieczeństwa. Sytuacja pomiędzy matką a dzieckiem jest szalenie intymna. Te odczucia matki, przeżycia dziecka są czymś, czego nie wolno obnażać wobec innych.

W. S. — Zastanawiam się nad czymś, co stanowi specyfikę roli matki dziecka autystycznego. Spotkałam się z tym, że lekarze, czasami inni ludzie, niektórzy terapeuci... tych matek nie lubią. Mówią, że wykończą one wszystkich. Są zdesperowane, pokrzywdzone, czasami są to matki typu lwice, a naprawdę — odrzucające. Często te matki dostają etykietę osób zaburzonych, co — myślę — jest niesprawiedliwe. Czy Pani się z tym spotkała, bo być może jest jakiś na to sposób, który trzeba znać, aby w ogóle to znieść? Jedną z uwag, które zapamiętałam w trakcie pewnej superwizji, była rada profesora Jacka Bomby, aby nie walczyć z tymi matkami. Nie starać się ich zmieniać, ale w miarę możliwości rozumieć i po prostu akceptować.

H. J. — Życie, jego trudy, robi z tymi matkami to, że one wszędzie pójdą, przekroczą wiele granic, rozbiją wszelkie mury, żeby ratować swoje dziecko. Oskarżą wszystkich: rodzinę, lekarzy. Ale myślę, że u podłoża tego leży poczucie winy — to odwołane zresztą przez Kannera, nie potwierdzone przez żadne badania, że matka jest winna. To przekonanie lub tylko lęk, że tak może być, w jakiś sposób powstaje w tych matkach i jest stałym źródłem niepokoju. A stąd niedaleko już do agresywności, ekspansywności. Oczywiście w terapii nie ze wszystkimi matkami udaje mi się tak pracować, nie wszystkim udaje się pomóc, ale generalnie, jeżeli matka widzi moje zaangażowanie, widzi, że daję jej konkretne wskazania i widzi efekty, to przyjdzie z zaufaniem, a nawet, mogę powiedzieć, z miłością. Mam takie wspomnienie. Kiedyś zachorowałam, bardzo źle się czułam, czekało mnie dłuższe leczenie. Przyszła wtedy pewna matka z dziewczynką, którą leczyłam od lat — ona jest teraz w normalnej szkole. Zaczęłyśmy ustalać termin następnej wizyty. Nie wiedziałam, jak to zaplanować. Bałam się, że tego wszystkiego nie przetrzymam. Wtedy ta matka powiedziała: „Pani tu musi być. Pani jeszcze musi zbudować kilka pomników — Kasia jest jednym z Pani pomników”. To było takie wzruszające! Od razu poczułam się lepiej.

A co do Jacka Bomby, którego Pani wspomniała — ja go wciągnęłam w ten autyzm w ten sposób, że dałam mu do przeczytania monografię, którą pisałam. Poprosiłam go o uwagi, ale nie bardzo miałam nadzieję, że to zrobi, bo było to w czasie wakacji. Tymczasem on mi odesłał pracę z jedną wielką uwagą, że trzeba wszystko zmienić. I bardzo dobrze, bo rzeczywiście wymagało to bardziej systematycznego opracowania. I to jest powód, dla którego mi stale brakuje środowiska krakowskiego, w którym mogę znaleźć życzliwość i zrozumienie. A poza tym jeszcze jest jedna rzecz, ogromnie dla mnie wstydliva. Jak jestem tutaj w Krakowie, to mam takie przeświadczenie, że tu wszyscy wiedzą więcej ode mnie. Gdy wyjeżdżam — myślę, że muszę coś nowego przeczytać.

W. S. — Chyba zawsze jest tak, że swoje różne braki widzimy ostrzej w konfrontacji z innymi, gdy się porównujemy.

H. J. — Właśnie, co do konfrontacji — ja u siebie nie mam możliwości rozmowy, która tak bardzo jest potrzebna.

W. S. — Rozumiem, że Pani mówi o swojej samotności, że nie jest Pani w zespole, który tak bardzo jest potrzebny w naszej pracy. Czy dobrze rozumiem? Z drugiej strony, słyszałam, że wspominała Pani o stworzonym przez siebie zespole, o tym, że jest bardzo żyty.

H. J. — Tak to prawda, ale to wszystko są bardzo młodzi ludzie, jakby moi uczniowie. Brakuje mi natomiast moich rówieśników z zamiłowaniem do rozmowy. Oni są w Krakowie.

W. S. — Porozmawiajmy proszę o mistrzach w Pani życiu, którzy pomogli wyznaczyć wartości, jakimi się Pani kierowała.

H. J. — Nie wiem, czy o tym mówić, bo to może zabrzmieć trochę śmiesznie. Było to może w 1943 roku, gdy mieszkałam w Warszawie i chodziłam do szkoły, w której uczył pan o trochę śmiesznym nazwisku. Potem okazało się, że był to pseudonim, który przybrał z powodu AK. Został rozstrzelany w 1944 roku, ponieważ był redaktorem podziemnego pisma. Był wielkim patriotą i przez całe lata był dla mnie wzorem szlachetności i skromności wielkiego umysłu. Pewien szczegół pamiętam do dziś, a mianowicie to, że za każde wypracowanie dostawało się u niego trzy oceny: za styl, chyba za treść, czyli wiedzę, i za patriotyzm. Tak, za patriotyzm! Ja w drugiej klasie szkoły podstawowej uczyłam się „Chłopów” Reymonta na pamięć. Ten profesor, to była dla mnie postać trochę tajemnicza, do dzisiaj nie wiem, kim naprawdę był. Otwierał mi horyzonty, zwracając uwagę, w tych przez siebie polecanych księgach, na piękny język, na cudowne opisy przyrody i na to, że jesteśmy Polakami. Opowiem Pani, jak kiedyś to, że jestem Polką, uzmysłowiło mi coś szalenie ważnego. Otóż w ostatnich badaniach nad depresyjnością wśród młodzieży przeprowadziłam ankietę, aby się dowiedzieć, czy ta nasza transformacja coś w niej zmienia. Między innymi było takie pytanie „Czy jesteś dumny, że jesteś Polakiem?” 20% odpowiedziało, że nie.

W. S. — To niebywałe i smutne zarazem. Myślę, że nawet jeszcze w moim pokoleniu inaczej traktowaliśmy te sprawy.

H. J. — Właśnie, inny był punkt odniesienia, inne wartości. Myślę, że to jest bardzo znacząca, negatywna zmiana w sposobie najpierw budowania tożsamości w czasie dojrzewania, potem jej umacniania, co jednak chroni przed zagubieniem, depresją. Mnie pomógł wzorzec moralny, który przekazał mi mój nauczyciel. Myślę, że dotyczy to całego mojego pokolenia.

W. S. — Czy może Pani wymienić jeszcze inne osoby znaczące?

H. J. — Z pewnością mogę do nich zaliczyć profesora Tadeusza Bilikiewicza, który dawał przykład dużej kultury bycia i tego przekonania, że wszystko jest możliwe i do zrobienia, jeśli ma się dostateczną motywację. Pamiętam, kiedyś dał mi pewien materiał, jakieś pismo: „Koleżanko, na wtorek przygotowuje Pani tłumaczenie i przedstawi na zebraniu”. „Ależ profesorze to jest po niemiecku!”. A on na to: „Nie szkodzi. To się pani przy okazji nauczy”. Profesor był pracowity i szalenie wymagający w stosunku do innych. W każdy wtorek odbywały się posiedzenia naukowe, na których każdy z nas musiał się czymś wykazać. Poza tym zaszczepił w nas pasję do pisania; sam miał ogromną kulturę języka. Wielką wagę przywiązywał do kazuistyki. Uważał, że to jest bardzo pouczające.

W. S. — Zastanawiam się, czy ta biologiczna psychiatria w wydaniu profesora Bilikiewicza była na owe czasy nowoczesna. I czy jednak nie zanadto jednostronna? Teraz znów wraca się do badań nad lekami na całym świecie, ale jesteśmy po okresie myślenia o człowieku również w kategoriach społecznych. A wtedy szkoła gdańska słynęła przede wszystkim z badań nad lekami.

H. J. — Do pewnego czasu była nowoczesna, a sam profesor nie odbierał znaczenia kontaktowi z człowiekiem jako z osobą. Brał pod uwagę różne czynniki determinujące psychopatologię. Ja dużo się od niego nauczyłam, doceniam to. A potem nasze drogi się rozeszły.

W. S. — Mówi się o psychoterapeutach, że każdy ma swój osobisty, niepowtarzalny styl kontaktu z pacjentem. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, raczej możemy bazować tu na spostrzeżeniach innych osób o nas. Czy mogę prosić o refleksję na ten temat? Najlepiej o sobie. Jakim Pani jest psychoterapeutą, co jest specyficzne dla kontaktu Pani na przykład z pacjentem młodzieżowym?

H. J. — Przede wszystkim muszę go lubić. Muszę wzbudzić w sobie takie uczucia, żeby móc pracować z tym człowiekiem. Wtedy będę dla niego ciepła. Z drugiej strony, wtedy łatwo można przekroczyć granice lekarz — pacjent. Ja na pewno jestem bardzo otwarta.

W. S. — Ale przecież nie wszystkich da się polubić.

H. J. — Wtedy nie biorę się za terapię, ale to jest rzadka sytuacja, w większości udaje mi się to. Pacjenci młodzieżowi, niekiedy zbuntowani, czasem utrudniają kontakt. Mija to wtedy, gdy się przekonają, że ja im naprawdę chcę pomóc. To jest kluczowe. Wtedy czują się bezpiecznie w kontakcie ze mną. To jest pierwszy warunek dobrego kontaktu i udanej terapii.

W. S. — W istocie, ale jak to zrobić?

H. J. — To trudno powiedzieć, bo albo mamy tę umiejętność, potrafimy to zapewnić, albo nie mamy, i już. Każdy chyba dochodzi do tego inną drogą. Jedną z nich jest delikatność, nieinwazyjność w dopytywaniu się o problemy.

W. S. — Myślę, że skoro Pani ma taki rozrzut wiekowy swoich pacjentów — małe dzieci, młodzież, ich rodzice — to daje to inspirację do wciąż nowych sposobów nawiązywania kontaktu. Ja bym to nazwała „młodością ducha”, którą też wyczuwam u Pani. Otacza się Pani zawsze młodymi ludźmi, nie tylko pacjentami, ale i współpracownikami, przyjaciele są młodzi.

H. J. — Tak, to zawdzięczam tym wszystkim młodym. Podobnie mówi o tym Marysia Orwid, młodzieżowy psychiatra. To oni wymuszają ciągłe zastanawianie się nad tym, do czego te zmiany prowadzą i skąd się biorą, zastanawianie się nad ich wartościami, któ-

rzymi się kierują. Czy Pani wie, jakie wartości decydują o przynależności czy akceptacji w grupie rówieśniczej? W badaniach okazało się, że siła fizyczna i dobra materialne. Tak odpowiedziała ankietaowana młodzież. I to zarówno grupa wyróżniona jako depresyjna, jak i ta niedepresyjna.

Muszę powiedzieć, że ponieważ więcej pracowałam z dziećmi, to bardzo lubię właśnie z nimi pracować. Jest dla mnie naturalne, że gdy przychodzi do mnie dziecko, czasem małe — siadam i bawię się z nim zabawkami, które mam zgromadzone w tym celu, nie muszę się do tego zmuszać. W ten sposób łatwiej mi nawiązać z nim kontakt.

W. S. — Jeżeli jest tak, jak Pani powiedziała, że podejmuje się Pani terapii tylko tych, których jest w stanie polubić, to właśnie dzieci są „pewnymi” obiektami do polubienia. Jeszcze nie widać w nich tych cech, które nas odstręczają.

H. J. — Jeszcze więcej powiem — ja bardzo potrzebuję tego, by ludzie mnie lubili, a dzieci to dają. Odwzajemniają zainteresowanie i sympatię.

W. S. — Jeżeli to udaje się pokazać opiekunom i rodzicom tych Pani pacjentów, jak ważna dla człowieka dorosłego może być sympatia dziecka, jak trzeba sobie na nią zapracować — to jest to na pewno silnie modelujące.

H. J. — Rzeczywiście. Z drugiej strony może wzbudzać zazdrość — szczególnie w matkach. I potem trzeba to rozładować. Ja to robię, nawet trudno mi opisać w jaki sposób. Po prostu rozmawiam z nimi. Często zapraszam taką matkę do zabawy — chcę, żeby mi pokazała, w jaki sposób najbardziej lubi bawić się z dzieckiem. Ja stanowię widownię, trochę, jak w teatrze.

W. S. — Rozumiem, że Pani docenia psychologię, pracuje z psychologami, walczy Pani o to, aby byli doceniani. Co jeszcze poza psychiatrią i psychologią Panią pasjonuje? Co jeszcze buduje Pani osobowość?

H. J. — Mam bardzo wiele zainteresowań, ale, niestety, mało czasu, aby te dziedziny zgłębiać. Ogromnie kocham poezję. Kiedyś przed pójściem do pracy znalazłam wiersz i przeczytałam go mężowi. Potem podzieliłam się tym z kolegami w pracy, a oni bardzo się zdziwili, że czytam poezję. Książki w ogóle to moja wielka pasja. Uważam zresztą, że pracując naukowo trzeba czytać książki, nawet nie związane ściśle z nauką. Kolejna moja miłość to muzyka, która działa na mnie kojąco. Staram się też chodzić na wystawy malarstwa, którego nigdy nie będę znawcą, ale zawsze entuzjastą. No i przyroda, wszystkie zwierzęta, nie tylko te domowe. Mój pies nazywany jest psem terapeutycznym — dlatego że kocha dzieci. Czasem do pracy przychodzę z moją psiną, która ma na imię Sunia. Moja córka, która jest psychologiem, uważa, że Sunia powinna dostawać honorarium za to, że ją wykorzystuję terapeutycznie.

W. S. — Córka również idzie w kierunku klinicznym, czy uległa modzie i zajmuje się reklamą?

H. J. — Nie, od początku jest to psychologia kliniczna. W poradni na Srebrzysku prowadziła grupy terapeutyczne. Ostatnio przeszła na oddział.

W. S. — W tym poszukiwaniu córki jest coś podobnego do Pani szukania sobie miejsca w swoim zawodzie, gdy była pani w jej wieku?

H. J. — Może tak, chociaż dzisiaj młodzi dorośli mają trochę inne problemy. Ja zresztą je śledzę i staram się rozumieć, i doceniać ich wysiłek. Muszę Pani powiedzieć, że moje studentki piszą tak piękne prace magisterskie, że właściwie są one na poziomie prac

doktorskich. Również ich tematyka jest ciekawa, np. taka jak anoreksja i bulimia albo wiele prac związanych z kliniką położniczą, a wśród nich badania dzieci z tak zwanych nieprawidłowych porodów.

W. S. — Rozumiem, że prowadzenie prac magisterskich i programów naukowych, nad którymi pracują młodzi, jest kolejną Pani przyjemnością?

H. J. — Tak! Ja to kocham. Wymyśliłam własną formułę prowadzenia seminariów magisterskich. Polega ona na tym, że odbywają się one w mniej formalnych warunkach, a mianowicie u mnie w domu. Ja przygotowuję herbatę, czasem grzanki, studenci przynoszą herbatniki. Dyskutujemy o wszystkim, można bez obawy wypowiadać swoje poglądy. Nikt się nie spieszy. Szukamy razem w mojej bibliotece literatury na temat, który nas ciekawi. Wtedy powstają najlepsze, najciekawsze pomysły. A poza tym jest to cudowne spotkanie!

W. S. — Czyli znowu oparte jest to na zapewnieniu im przez Panią poczucia bezpieczeństwa, na tym, co jest dla Pani najważniejsze w relacji z drugim człowiekiem. I na wzajemnej sympatii.

H. J. — Tak, chodzi o to, żeby ci studenci czuli się akceptowani, doceniani. Wtedy myślą ciekawe rzeczy, swoje własne. A mnie ta formuła po prostu sprawia przyjemność. Oni też to lubią i często jeszcze po latach utrzymujemy kontakty, uczestniczę w ważnych momentach ich życia, jak na przykład ślub.

W. S. — Zastanawiam się nad ostatnim pytaniem. Przychodzi mi taka refleksja, że rzadko się ma do czynienia z osobą, która, tak jak Pani, nie skarży się na ciężar swojej pracy i trudnego — przez wszystkie zmiany — losu. Wiem, że Pani miała bardzo trudną drogę kariery uczelnianej. Rolą psychoterapeuty jest kontenerować wszystkie krzywdy, cierpienia. A jednak pozostała Pani osobą pogodną, otwartą, niesłuchanie tolerancyjną. Jak się to robi? Co można powiedzieć tym młodym, o których Pani mówi tak dużo i z taką miłością?

H. J. — Tak, w moim życiu bywało trudno. I to na wszystkich etapach. Musiałam przełamywać bariery. Gdy dawano mnie, psychiatrze, wykłady na psychologii, nie obyło się bez wątpliwości. Możliwe, że jest tak, że gdy człowiek coś z trudem zdobywa, lepiej to docenia i co więcej — to jest cenniejsze. Pozostaje wtedy skromniejszy i jest bardziej sobą. Bo gdy się ma wszystko od początku i bez trudu, to, co to za sztuka? Ja kilka razy zaczynałam od początku, musiałam się odbijać. I udawało się, chociaż nie było łatwo. Wie Pani — ja myślę, że udaje się wtedy, gdy człowiek pokocha swój zawód. Mnie się to udało. To jest wielkie szczęście, gdy człowiek cieszy się tym, że może pracować, przydawać się innym. A pracować z ludźmi to dla mnie znaczy odkrywać coraz to nowe sprawy, sięgać coraz głębiej. Wtedy też poznaje się siebie. Ale przede wszystkim, żeby uprawiać ten zawód trzeba kochać ludzi.

W. S. — Aż się boję zapytać: jak to zrobić? Może to jest dar dany nam, coś takiego jak łaska?

H. J. — Nie wiem, ale można to porównać do zasobów, które się ma w sobie nagromadzone przez życie. Muszę przyznać, że mam chyba jeszcze dużo dobrych uczuć w sobie, którymi obdarowuję ludzi. Dla przyjaciół na przykład jestem bezgranicznie oddana, wybaczam rozmaite krzywdy. Ale jednak jest jakaś granica wytrzymałości: przychodzi taki moment, kiedy cofam serce i już nie ma powrotu. Astrologowie powiedzieliby, że

jest to natura Skorpiona, którym jestem. Gdy już ta kropla się przeleje, nie wracam do przeszłości, wymazuję uczucia, które były. Pomaga mi to wtedy. To zawsze jest bolesne, ale ważniejsza jest ta siła, która pozwala mi odciąć przeszłość. To mnie ratuje. Nie chcę dalszych ran. Ale to są rzadkie przypadki. Normalnie mam dużą „pojemność”, jakby powiedzieli psychoanalitycy, i to bardzo pomaga w pracy. Tego życzę młodym, chociaż trzeba pamiętać, że przychodzi to z czasem.

W. S. — Dziękuję za rozmowę, cieszę się, że mogłam Panią bliżej poznać i mam nadzieję, że czytelnicy „Psychoterapii” również.

H. J. — Ja również dziękuję, chociaż niełatwo jest przekazać to, co naprawdę chcemy powiedzieć. Czasami staramy się ubrać nasze myśli w okropnie mądre słowa i zdania. Trudno jest mówić o tym zwyczajnie. Mam nadzieję, że nam się to udało. Pewnie dlatego, że odbyło się to w Krakowie.